

# Znad Galve nad Bałtyk... i z powrotem

O repatriacji i gminie karaimskiej w Trójmieście, o inżynierach i filologach, o tymbyłach i chlebie, o harcerstwie i małżeństwie opowiada nam Żenia Firkowicz z Sopotu.

*HANNA PILECKA: Miałas doskonały pomysł, by umówić się na pierwszą część rozmowy w kwietniowym tygodniu świątecznym. Trwa Chydzły Tymbyłarnyn, więc na stole postawiłaś swoje wspaniałe tymbyły i czarę z miodem, obok leżą plastry krymskiej tymbyłowej babki szpinakowej z mięsem oraz tymbyłowej babki z renetą, gruszką i suszoną żurawiną – wymyśliłaś ją w czasach, kiedy trójce dzieci musiałam do szkoły pakować drugie śniadanie, a przez te siedem dni nie mogło być mowy o kanapkach. Jednak nie jedzenie, choć smakowo niezwykle i dość pracochłonne, stanowi istotę tych świąt, tylko modlitwy. Opowiedz, proszę, jak wyglądały te nasze wielkanocne zgromadzenia w Gdańsku za czasów twojego dzieciństwa.*

ŻENIA FIRKOWICZ: Wszyscy Karaimi spotykali się przed Haggada u stryja Bogusława i cioci Ady Firkowiczów przy ulicy Wajdeloty we Wrzeszczu. Z pierwszego wielkiego pokoju krzesła były wyniesione, by zrobić miejsce dla kilkudziesięciu osób, które przychodziły się pomodlić, bo oczywiście nie do pomyslenia byłaby modlitwa na siedząco.

Po nabożeństwie, które trwało około dwóch godzin, wierni rozchodzili się do domów, a na uroczystej kolacji przygotowanej przez ciocię Adę zostawialiśmy my z ojcem, moja mama, pomimo

że po rozwodzie już mieszkała gdzie indziej, i twój teść mecenas Eliaasz Pilecki ze swoją mamą Zofią. Taka była tradycja, póki jeszcze Eliaasz nie był żonaty.

Nazajutrz, w pierwszy dzień świąt, znowu zbierano się na modlitwę, a następnie – może to według tradycji, że w siedmiu domach trzeba pokosztować tymbyłów – każdy po kolei wyprawiał tymbyłowe przyjęcie: u nas w domu, u słynnego „Kabana” czyli Michała Jutkiewicza i jego żony Naty w Sopocie, u Zofii i Aleksandra Nowickich w Gdańsku na Oruni, u Natalii i Izzydora Pileckich we Wrzeszczu, a po ślubie Eliaasza z Heleną także u nich. I tak przez cały świąteczny tydzień, codziennie u kogoś innego, ale czasami tam szli tylko dorośli, a mnie z Jurkiem Robaczewskim i Jurkiem Firkowiczem zostawiano pod opieką Seweryna.

*Mówimy o latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, prawda? Dla mnie, urodzonej w 1961 r. w Krakowie, gdzie za mojej pamięci na święta do naszej pięcioosobowej rodziny dołączał tylko kuzyn mamusi, profesor Włodzimierz Zajączkowski – i to już była cała karaimska gmina krakowska, twoja opowieść brzmi jak najpiękniejsza muzyka.*

Teraz według moich szacunków jest nas dwadzieścioro w Trójmieście, ale wtedy nas było dużo,



Eugenia Firkowicz.  
Fot. z archiwum prywatnego

naliczyłam jakieś siedemdziesiąt osób. Spotykaliśmy się na wszystkie święta właśnie na Wajdeloty. Nam, dzieciakom, to się nie chciało, uciekaliśmy do drugiego pokoju ciotki – bo na przykład w Haggada trzymali nas głodnych na stojąco podczas modlitw, więc czasem podkradaliśmy jakiś kęsek w kuchni. Jak za bardzo dokazywaliśmy, to ojciec ustawiał mnie przed sobą, a stryj – swojego Jurka. A dorośli nawet brali urlop na ten tydzień karaimskiej Wielkanocy. Mój ojciec, Marcin Firkowicz, nie wyobrażał sobie, żeby pójść do pracy w tym czasie. I tymbyły sam piekł. A że był takim trochę efekciarzem, to zawsze część tymbyłów zrobił trochę posłodzonych, smaczniejszych, i częstował nimi znajomych nie-Karaimów.

#### *Jak to się stało, że twoi rodzice zamieszkali w Gdańsku?*

Rodzice, już po ślubie zawartym w Trokach w lutym 1946 roku, przyjechali w ramach repatriacji w roku 1946 najpierw do Wrocławia, a potem przenieśli się tu na Wybrzeże – bo jednak tam we Wrocławiu było bardzo tłoczno, wielu Karaimów w kilku małych mieszkaniach. Tata pierwszy przyjechał do Gdańska, być może w odwiedziny do Izydora Pileckiego. Opowiadał mi taką historię, że we Wrzeszczu spotkał na ulicy znajomą z Wilna, która wyprowadzała się do syna do Warszawy, a miała tu mieszkanie na Wajdeloty, razem z takim małym kioskiem spożywczym, i chciała je sprzedać. I ojciec kupił od niej za złotniaki to ogromne mieszkanie, do którego potem sprowadził mamę oraz brata, Bogusława Firkowicza, z żoną Adą i małym Sewerynem. Naturalnie, życie codzienne pod jednym dachem w dwie rodziny nie było jednak komfortowym rozwiązaniem.

Zakład pracy ojca zaczął odbudowywać dwa budynki w Sopocie i w październiku 1948 r. przeprowadziliśmy się do tego mieszkania, gdzie teraz rozmawiamy. Kiedy rodzice się rozeszli, dalej mieszkalam tu z ojcem. Mama natomiast zrobiła maturę, ukończyła studia medyczne – była przecież wciąż bardzo młodą kobietą z rocznika 1929, która tydzień przed skończeniem osiemnastu lat urodziła mnie. Między rodzicami było prawie osiemnaście lat różnicy, bo ojciec urodził się w roku 1911. Mama, Biana Firkowicz-Skrodzka, pracowała potem przez czterdzieści lat jako pulmonolog i wyobraź sobie, że zmarła na raka płuc. Kiedy ja miałam osiemnaście lat, umarł mój tata, też na raka. Wtedy moja mama oddała bardzo

ładne dwupokojowe mieszkanie na ulicy Heweliusza i zamieszkała z ojczymem w dwóch pokojach tutaj, bo ja za nic w świecie nie chciałam stąd się wyprowadzić – przecież to był dom budowany przez mojego tatę. Tu z mamą przemieszkałam do jej śmierci, byłam już po sześćdziesiątce, kiedy umarła.

#### *Czy rodzice opowiadali ci coś o tej okrutnej tak zwanej repatriacji, związanej z utratą godności i majątku, czasem życia lub zdrowia i najmniejszej kontaktu z najbliższymi?*

Oni jechali towarowymi wagonami dwa tygodnie albo i dłużej, zatrzymując się w kolejnych miastach, a czasami i na wsi. Mama opowiadała, że niektórzy w tych samych wagonach wieźli kozy, krowy – w każdym razie tyle, ile pozwolono im wywieźć. Moi rodzice wylądowali we Wrocławiu, jak prawie wszyscy nasi rodacy, bo tam już wcześniej trafiła pierwsza część Karaimów, między innymi kuzyni ojca, bracia Dubińscy, Abkowiczowie już chyba też. Tam też zostawali ci chłopcy, którzy wyszli z Wileńszczyzny z Wojskiem Polskim.

Niedawno poznałam Wojtka Firkowicza, który urodził się i mieszkał w Jaworze, gdzie, jak się okazało, mieliśmy nawet wspólnych harcerskich znajomych. I znalazłam w domowych zbiorach zdjęcie jego ojca jeszcze w mundurze, podarowane



Rodzice Żeni, Marcin i Biana, krótko po ślubie. Fot. z archiwum Eugenii Firkowicz

w tamtych czasach moim rodzicom. Oni wtedy we Wrocławiu, sfłoczeni w małych mieszkaniach, tworzyli naprawdę spójną społeczność.

Może dlatego mały Seweryn był taki rozpuszczony... Mama opowiadała, że kiedyś wchodzi do pokoju, a ten stoi przy parapecie, bawi się czymś złotym zegarkiem i zamierza go wyrzucić przez okno. Mama w ostatniej chwili złapała ten zegarek, ale wyobraź sobie, by to było, gdyby właściciel go nie mógł znaleźć! Zastanawiałby się, czy któryś z rodaków go okradł? To było nie do pomyślenia!

Ojciec mój przyjechał do Wrocławia razem z młodszą siostrą Emilią, na którą już czekał mąż, Naum Robaczewski, i oni tam zostali. Tam w 1947 r. urodził się ich pierwszy syn, Jurek Robaczewski...

*...którego poznałam we wrześniu 2022 r. podczas otwarcia Skweru Karaimskiego we Wrocławiu! Wygląda świetnie, tak samo jak ty. To twój rówieśnik, prawda?*

(Śmiech) Jest trochę młodszy, bo ja jestem z kwietnia, a on z listopada. Jego mama niestety zmarła po urodzeniu drugiego syna. No i potem był taki okres, że mój ojciec zabrał Jurka tutaj do nas, razem mieszkaliśmy od klasy drugiej do ósmej i właściwie wspólnie się wychowywaliśmy. Później ojciec zaczął chorować i Jurek wrócił do Wrocławia. Utrzymujemy z nim cały czas kontakt bardzo ciepły i serdeczny. Jurek przeszedł na emeryturę, tylko żona pracuje.

*Wydaje mi się, że wtedy we wrześniu ich wnukowie znacznie szybciej od nas pokonali trasę gry terenowej na Sepolnie i tym samym dostali lepsze nagrody (śmiech).*

Możliwe, wychowali syna i córkę, a córka Dorotka ma jedenastoletnią Basię i pięcioletniego Leona oraz męża Włocha – to ich pewnie widział. Właśnie wczoraj Jurek mówił przez telefon: „Tak dawno już u nas nie byliście!”. Ja na to: „Co ty, niedawno...”, ale jak policzyliśmy, to wyszło, że na jego siedemdziesiątkę. Parę ładnych lat minęło.

*Szczerze mówiąc, myślałam, że jest raczej tuż po sześćdziesiątce. Gratuluję genów! Czyli we wrzeszczańskim parku Kuźniczki, pięknie kiedyś opisanym na tych łamach, bawiłaś się z czterema buńdziukami: Kostkiem, Sewerynem i dwoma Jurkami.*

Dalej darzę sentymentem ten park... Tak naprawdę przemieszczałam obok niego tylko pierwszy

rok życia, zanim przeprowadziliśmy się do Sopotu, ale przez cały czas spędzaliśmy we Wrzeszczu wszystkie święta, wolne dni. Ciocia Ada nie pracowała, więc jeździliśmy na ulicę Wajdeloty – najpierw ja sama, a potem razem z Jurkiem Robaczewskim. Zналиśmy tam każdy kąt i doskonale się wszyscy bawiliśmy.



Kostek, Seweryn i Żenia czyli „Trockie ogórki” we Wrzeszczu. Fot. z archiwum Eugenii Firkowicz

*Sądząc po późniejszych osiągnięciach tej „kompanii”, zabawy musiały być interesujące i inspirujące. Czym zajęli się w dorosłym życiu ci twoi kuzyni?*

Seweryn skończył Politechnikę Gdańską, dostał najpierw pracę wraz z mieszkaniem w Polkowicach, a stamtąd wyjechał do Szwajcarii. Na pewno był wybitnym fachowcem, chyba też w drodze wyjątku uznano jego dyplom ukończenia studiów, bo od początku pracował tam jako inżynier i bardzo dobrze zarabiał. Natomiast jego młodszy brat Jurek skończył technikum, ale ponieważ jeszcze jako uczeń zainteresował się sportem, szczególnie judo, w którym miał bardzo dobre wyniki i duże osiągnięcia, na studia już nie poszedł, skoncentrował się na karierze sportowej. Swego czasu był nawet mistrzem Polski w judo w swojej wadze, był w kadrze olimpijskiej. Mam tu jego dyplomy, zdjęcia i wycinki z gazet, które ciocia Ada pieczołowicie zbierała.

Jurek Robaczewski też skończył studia politechniczne, zajmował się ochroną środowiska oraz ciepłownictwem i przez wiele lat, aż do emerytury, pracował na kierowniczych stanowiskach jako bardzo ceniony specjalista.

*Czyli trzech z tych czterech chłopaków – Seweryn, Kostek i Jurek Robaczewski – po Politechnice pracowało jako inżynierowie? Ach, to karaimskie umiłowanie matematyki, którego nie bardzo umiałam zrozumieć... Na szczęście mamy*

*w narodzie też liczną reprezentację filologów, do których ty należysz. Opowiedz nam o swoim życiu zawodowym.*

Ukończyłam studia z zakresu filologii rosyjskiej, co pozwoliło mi pracować w dwóch zawodach. Byłam nauczycielem w II Liceum Ogólnokształcącym w Sopocie, potem pracowałam zawodowo w harcerstwie, w administracji państwowej, i cały czas dbałam, żeby ten staż nauczycielski leciał, tak więc po trzydziestu latach, w tym dwudziestu „z kredą w rękę” (ostatnio w Liceum Sportowym przy Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku), mogłam przejść na emeryturę i zając się tylko działalnością translatorską. Zawsze starałam się wykonywać różnego rodzaju tłumaczenia, co za poprzedniej epoki było sporym zaszczytem, zajęciem raczej honorowym, jak na przykład translatorska obsługa obrad międzynarodowej delegacji. A w nowej Polsce zaczęłam już pracować zawodowo jako tłumacz i z tego mam pieniądze. Od 1988 r. jestem tłumaczem przysięgłym, w związku z czym nie mogę narzekać, mam dość bogaty portfel klientów i coraz większy. Muszę ci powiedzieć, że twój teść Eliaż Pilecki, jak tylko zostałam ustanowiona przysięgłym, spotkał się ze mną i udzielił mi cennych wskazówek co do tego zawodu, który sam od dziesięcioleci wykonywał. Do tej pory je pamiętam, dalej procentują.

*A harcerstwo? Dwa dni temu ktoś przedstawiłam się jako Karaimka i usłyszałam: „Tu w Trójmieście jest taka Zenia, harcerka, zna ją pani?”*

Właściwie od dziecka należałam do harcerstwa, od kiedy zaczęło się w Polsce odradzać po roku 1956. Będąc nauczycielem, zaczęłam działać na poważnie – najpierw jako instruktor harcerski prowadziłam ogromny szczepek w II LO w Sopocie, potem zostałam zastępcą komendanta hufca, następnie komendantką hufca w Sopocie. Później pracowałam w Komendzie Chorągwi jako kierownik wydziału organizacji wypoczynku, a w latach 1977–1981 pełniłam zaszczytną funkcję zastępcy komendanta chorągwi. Byłam też przez dwa lata dyrektorem Domu Harcerza w Gdańsku.

*Pasja i zawód w jednym... Czy w chwili obecnej masz jeszcze kontakt z chorągwią?*

Oczywiście, nie mogłabym się na dobre pożegnać z harcerstwem, jestem z nim cały czas związana. Należę teraz do kręgu „Korzenie” przy Komendzie Chorągwi. I mam grupę przyjaciół, z którymi

się cały czas trzymam od lat ponad pięćdziesięciu, a połączyło nas ze sobą harcerstwo. Harcerstwo mnie ukształtowało i wiele nauczyło. Poza tym praca z dziećmi i młodzieżą dała mi bardzo dużo, bo jeśli człowiek wciąż się obraca wśród młodych, to czuje się stale aktywny i nie chce się poddać mimo wieku. Dlatego bardzo się cieszę, że wnuczka mojego męża Mietka, nasza wnuczka, też działa w harcerstwie. Pokażę ci teraz ciekawe zdjęcie sprzed dwóch lat z pieszego rajdu „Rodło”, dorocznej imprezy organizowanej przez chorągiew gdańską. Tu widzisz drużynę naszej wnuczki, oto ona, a obok stoję ja wśród moich przyjaciółek seniorek, bo razem wybrałyśmy się na trasę dla seniorów. Zdjęcie zrobiono w Garczynie na terenie tamtejszego ośrodka sportowego, gdzie wszyscy uczestnicy rajdu zeszli się na apel, meldunek, rozdanie nagród i tak dalej.

*Dlaczego nosisz mundur inny niż pozostałe panie?*

Ja mam harcerski granatowy mundur żeglarski, bo zajmowałam się przez cały czas żeglarstwem, sama też żeglowałam trochę. Oprócz tego czasem noszę i szary mundur, w zależności od okazji. Muszę też ci jednak powiedzieć, jak mi się udało tak wiele ciekawych miejsc na świecie zobaczyć. Pracowałam też zawsze jako pilot wycieczek do krajów rosyjskojęzycznych, a tam naprawdę jest co zwiedzać. Sporą część zarobionych pieniędzy wydawałam na podróże do innych krajów, już zupełnie prywatnie.

Rajd „Rodło” zorganizowany przez Chorągiew Gdańską łączy pokolenia. Fot. z archiwum Eugenii Firkowicz



*Jestem pewna, że te podróże zawodowe, choć barwne, wymagały ogromu pracy i niezwyklej koncentracji.*

Nie wszyscy to rozumieją, a przecież nie było tak, że mi zapłacili czy dali wycieczkę w prezencie. Na przykład żeby wysłać dwieście dzieci na obozy pionierskie do Leningradu, co robiliśmy co roku w latach osiemdziesiątych, musiałam zorganizować kadrę i zadbać o mnóstwo spraw. Nagrody się zdarzały, jak ten mój wyjazd z dziesiętką dzieci do Finlandii, który też naturalnie wiele wysiłku organizacyjnego mnie kosztował, ale i stworzył szansę zobaczenia bardzo interesującego kraju. Rzecz jasna organizowałam też obozy krajowe i fajnie było. Dlatego wszystkim powtarzam, że warto dzieciaki namówić na wstąpienie do harcerstwa, bo mogą się tam nauczyć i sprawności życiowych, i przestrzegania wartości.

*Wróćmy jeszcze do granatowego mundurka. Na ile żeglarstwo w twoim życiu związane było z harcerstwem?*

Żeglować nauczyłam się w harcerstwie, ale już jako osoba dorosła, pracująca. Będąc kierownikiem wydziału, zastępcą organizacyjnym komendanta chorągwi, miałam bardzo dużo do czynienia z żeglarzami, którzy w pewnym sensie mi podlegali. Granatowe mundury nosiliśmy na zjazdach, uroczystościach, wyróżnialiśmy się jako chorągiew żeglarska. A ci starzy wytrawni żeglarze mnie namówili, nauczyli i parę rejsów odbyłam na naszych harcerskich jachtach.

*Szkoda, że twój ojciec nie doczekał tych twoich sukcesów, na pewno byłby bardzo dumny.*

Ale tak zupełnie bez śladu nie odszedł, ludzie pamiętają... Na przykład podczas mojego egzaminu na prawo jazdy pięć lat po śmierci ojca, kiedy już odpowiadałam na wszystkie pytania, egzaminator pogratulował mi nadzwyczaj serdecznie. „Muszę pani powiedzieć – dodał – że pani ojciec był moim kolegą, a w ogóle to nawet szefem. I bardzo mi miło, że jego córka tak ładnie zdawała”.

*A kim tata był z zawodu?*

Inżynierem drogownictwa i jeszcze przed wojną pracował w drogownictwie w Lidzie, w Szczuczynie, ale w sumie przez ostatnie lata w Wojewódzkim Zarządzie Dróg Publicznych w Gdańsku był kierownikiem Wydziału Mostów. Wszystkie mosty, które do 1964 r. były odbudowywane na

terenie naszego województwa, podlegały mojemu tacie. Między innymi ten na Wiśle pontonowy do Sobieszewa. Z dzieciństwa pamiętam, że jak przychodziła powódź, co się często na wiosnę zdarzało, jeździłam z ojcem w teren, bo most na przykład wisiał pośrodku między masami wody, a ludzie bardzo się bali, ponieważ kiedyś pod koniec lat pięćdziesiątych jedno przęsło mostu się oderwało i szło w kierunku morza. Jak ojca o tym zawiadomili, to na moich oczach ze zmartwienia posiwiał – taki jeden pasek na głowie nagle zrobił się szary. Jechał wtedy natychmiast na miejsce, znajdował rozwiązanie, zresztą inaczej ktoś by mógł pomyśleć, że to jakiś sabotaż.

*I co, złapali wtedy to przęsło?*

Tak, jakoś opanowali sytuację, nie znam szczegółów, bo wtedy akurat z ojcem nie pojechałam. Lecz pamiętam inne sytuacje, kiedy z ojcem i mieszkającym obok nas dyrektorem tego WZDP dopływałam do tego pontoniaka. Ojciec miał ukończone technikum, jak niejeden ekspert w tamtych czasach. Po wojnie zdawali specjalizacyjne, kwalifikacyjne egzaminy i w ten sposób dostawali tytuł inżyniera. Oczywiście niektórzy, nasz sąsiad na przykład, opowiadali potem bajki, że studiowali na Politechnice. Ja jednak wiem, że sąsiad nie studiował, bo tytuł zdobył razem z moim tatą.



Żenia z tatą. Fot. z archiwum Eugenii Firkowicz

Oni byli od strony praktycznej bardzo dobrze przygotowani do pracy. A wileńskie technikum, którego absolwentem był tata, służyło z wysokiego poziomu.

*Kiedy dwadzieścia dwa lata po śmierci twojego ojca zamieszkałam w Gdańsku, imię Marcina Firkowicza przewijało się w każdej rozmowie o tutejszej gminie karaïmskiej. Musiał być po prostu zwyczajnie bardzo lubiany, ale też wiele mu zawdzięczano. Jakim był człowiekiem?*

Ojciec był bardzo pobożny. W 1955 roku, kiedy wreszcie zaczęto puszczać ludzi na Litwę, najpierw pojechał tam Sławek Pilecki, lecz z gdańskiej gminy to my z ojcem byliśmy pierwsi – on po dziesięciu latach nieobecności plus ja ośmiolatka. I akurat trafiliśmy na Boszatłach, więc ojciec cały dzień modlił się w kienesie, ani razu nie siadł, tylko na przemian klęczał i stał. A kiedy wróciliśmy z Trok, ojciec zorganizował tu w domu spotkanie. Jak zawsze było dużo jedzenia, pełno wszystkiego, ale już wiesz, że mój tata lubił specjalne efekty. W pewnym momencie wniósł do pokoju dużą tacę, a na niej pokrojony czarny chleb, który przywieźliśmy z Trok. Haniu, żebyś ty słyszała, jaki podniósł się płacz, jak oni zaczęli wachać ten chleb i po kolei ryczeć, bo to był chleb pieczony w domowym piecu u trockich Karaïmów. Ale pamiętam też, że na wszystkich tych spotkaniach zawsze dużo śpiewali – i piosenki po karaïmsku, i te polskie o Trokach. Bardzo byli ze sobą zżyci, potem dopiero to się rozleciało, nasze pokolenie już miało inne cele i nie zadbalimy o tę ciągłość.

*A ojca udział w zapewnieniu ciągłości życia religijnego na Wajdeloty, w tym zdobytych przez niego wielkim mieszkaniu Ady i Bogusława, gdzie wszyscy mogli się pomieścić?*

Ojciec był takim organizatorem, to on zawsze dzwonił po ludziach, przypominał, wyznaczał godziny. Niestety, był także pierwszym Karaïmem, który tutaj umarł. I posłuchaj, jaki list napisał mój tata przed śmiercią: „Poproście wujka Rafała, żeby przyjechał mnie pochować, pod warunkiem, że przyjedzie w naszym stroju liturgicznym, ponieważ ja nigdy nie wstydziałem się, że jestem Karaïmem. Jeżeli nie będzie mógł przyjechać w stroju liturgicznym, wystarczy, że pomodli się nad moim grobem Olek Dubiński”. Mama zadzwoniła do Wrocławia, Hazzan Rafał Abkowicz powiedział, że nie ma problemu, i to on pochował



ojca. Wiele osób przyjechało na jego pogrzeb w roku 1964.

Potem jeszcze tradycję wspólnego modlenia się na Wajdeloty podtrzymywał stryj Bogusław aż do swojej śmierci, czyli do 1973 roku. Nie uczestniczyłam w pogrzebie stryja Bogusława, bo akurat byłam na wycieczce w Egipcie. Nie spodziewałam się, że Bogusław tak szybko odejdzie. Później gmina spotykała się u twoich teściów, Eliasza i Heleny Pileckich, ale już zabrakło tego motoru. Najbardziej przygotowanym do prowadzenia nabożeństw był Aleksander Nowicki, gdański lekarz, który niedawno zmarł w wieku 102 lat. Jednak tak naprawdę wszyscy ci mężczyźni byli nauczani, umieli się modlić.

*Nie zdążyłam poznać Bogusława, męża bardzo mi drogiej Ady Firkowicz. Możesz mi o nim opowiedzieć?*

Był architektem. Pracował w budownictwie rolniczym, a potem długi czas jako architekt powiatowy w Pruszczu Gdańskim. Pamiętam, jak w Pruszczu się urodziły pierwsze trojaczki, a może czworaczki. I stryj jeździł jako architekt powiatowy i szukał dla nich odpowiedniego mieszkania. Kiedy podjęłam pracę w Komendzie Chorągwi, kadrową była starsza pani, która zapytała, czy coś mi mówi nazwisko Bogusława Firkowicza. Przytaknęłam: „To jest mój stryj”. „Bo ja z nim pracowałam w Pruszczu” – odpowiedziała i rozplęnęła się w pochwałach.

Bogusław był najmłodszy z rodzeństwa, urodził się w 1917 roku. Mój tata właściwie cały czas

Rodzina Firkowiczów w Trokach podczas drugiej powojennej wizyty braci Marcina i Bogusława z rodzinami, 1956 r. Fot. z archiwum Eugenii Firkowicz

się opiekował i stryjem, i całą tą rodziną, bo oni bardzo wcześnie zostali sierotami. Było ich siedmioro. Stryj Zenon miał syna Józiuka, znanego też jako „Dyzel”, potem mój ojciec miał mnie jedną, potem Bogusław miał synów Seweryna i Jurka. Plus były cztery siostry: najstarsza Ania Jutkiewiczowa, matka Gienadija, Ireny i Koli, potem ciocia Tania, matka Halki Szpakowskiej, ciocia Miła Robaczewska, mama Jurka i Emila, i ciocia Jula, najstarsza z siostr, mama męża Zosi Robaczewskiej. Bracia odeszli bardzo wcześnie – mieli pięćdziesiąt dwa lata, pięćdziesiąt cztery, pięćdziesiąt sześć. A synowie Bogusława obaj zmarli w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat.

***I biedna ciocia Ada, od dawna już będąca wdową, musiała zmierzyć się z tą straszliwą tragedią: pochować obu synów.***

Ona to nawet przeczuwała, kiedy Seweryn ostatni raz ją odwiedził. Z tym że ciocia już na pogrzeb Seweryna nie była w stanie pojechać do Szwajcarii, to ja pojechałam, ale jeszcze został Jurek. Po Jurka odejściu już się poddała, tak jakby zapadła się w sobie, choć starała się tego nie okazywać. Taka właśnie była do końca życia – nieuciążliwa, nie narzucała nikomu niczego. Jak Jurek zmarł u siebie w Niemczech, ja akurat przebywałam w Warszawie. Ciocia dzwoni do mnie i mówi: „Coś mi się nie podoba, Jurek nie odpowiada na telefony, może jedzie tu do Gdańska?”. Ja próbowałam ją uspokoić, mówiłam, że wrócę za dwa dni, wszystko wyjaśnimy. Jednak serce matki jej podpowiadało, że jest niedobrze, prosiła mnie, bym zadzwoniła do Niemiec do byłej żony Jurka, żeby go odszukała – i wtedy od niej się dowiedzieliśmy o jego śmierci. Najpierw ciocia zapytała, kto pojedzie na pogrzeb, odpowiedziałam, że oczywiście my z Mietkiem, ale zaraz potem już wiedziałam, że musimy sprowadzić zwłoki – bo kto by tam odwiedzał ten grób, sama powiedz. A tak mam go tu na miejscu, przychodzę, posiedzę. Dla cioci to było niezwykle ważne, chociaż w tym mogliśmy jej pomóc.

***To musiało być dla was dużym wyzwaniem.***

Mam łatwiej o tyle, że Mietek ma takie nastawienie. Kiedy mówiłam: „Sprowadzenie zwłok kosztuje dwadzieścia tysięcy, co robić?”, on odpowiedział natychmiast: „Sprowadzać, a potem będziemy się martwić o pieniądze”. Kto wie, jak inny facet by postąpił.

***Gdzie Jurek mieszkał?***

Jurek mieszkał we Flensburgu, gdzie pojechaliśmy się z nim zobaczyć równo rok przed jego śmiercią. Przez te ostatnie lata, sama pamiętasz, ciężko mu było. Odwiedzał mamę w Gdańsku, mimo że poruszał się na wózku, ale na przykład raz tak źle się poczuł, że nie mógł stąd wyjechać. Wtedy poprosiłam twojego szwagra Aleksandra i on go odwiózł do Niemiec. Bałam się, co będzie, ale tutaj w Polsce Jurek nie miał żadnej gwarancji wsparcia, a tam naprawdę dobrze się nim opiekowano. Poznałam te jego opiekunki, które pojawiały się trzy razy dziennie. One były zdziwione, że przywiozłam im prezenciki, a dla nas to przecież oczywiste.

***Często odwiedzałam ciocię, zwłaszcza kiedy już była mniej mobilna i nie mogła przyjeżdżać do nas na urodziny czy święta ani spotykać się z nami nad morzem czy w Parku Oliwskim. W jej opowieściach zawsze centralną figurą byłaś ty, Zeniu. Ciocia traktowała cię jak córkę, a wy z Mietkiem dbaliście o jej codzienny komfort jak rodzone dzieci.***

Przez te ostatnie lata, jak jej synowie wybyli z Polski, a potem zmarli o wiele za wcześnie, opiekowałam się ciocią, na ile mogłam, bo dla nas wszystkich to była bardzo bliska osoba – wiem, że także dla ciebie. Ja ją pamiętam od dziecka, zawsze mogłam na nią liczyć. Na przykład jak studiowałam we Wrzeszczu, to podczas przerwy między zajęciami biegłyśmy z koleżanką do cioci, wiedząc, że

Ada i Bogusław Firkowiczowie, Emilia i Naum Robaczewscy, Marcin Firkowicz. Gdańsk, lata czterdzieste XX w. z archiwum Eugenii Firkowicz



nas ugości, że będzie miała dla nas pyszne śledzie smażone w occie, a może nawet kybiny. Zawsze była pomocna, ciepła, autentycznie dobra. Nigdy nie krytykowała, po prostu była dla wszystkich życzliwa. Jej dom był otwarty, święta czy nie święta, wszyscy się zbierali na modlitwy u Firkowiczów, potem się rozchodzili po domach, ale część zostawała na uroczystą kolację, którą przygotowywała Ada. Pamiętam też śluby, przecież twoi teściowie także brali ślub u cioci Ady w domu.

#### ***A kto udzielił im ślubu?***

Wujek Rafał, Hazzan Abkowicz, przyjechał z Wrocławia. Zresztą ciocia Ada swoje kuzynki zapoznawała z towarzystwem, można powiedzieć, że swatała.

***Skoro już weszliśmy na tematy matrymonialne, chciałabym cię zapytać o współistnienie kultur w waszej rodzinie. Twojego ojczyma nie pamiętam, ale twój mąż bardzo się angażuje w nasze życie społeczne i doskonale się orientuje w skomplikowanych zagadnieniach karaimskiej historii. Czy ojczym też był taki?***

Ojczym, Ireneusz Skrodzki, drugi mąż mojej mamy, był katolikiem, który chadzał, choć niezbyt regularnie, do kościoła. W domu przestrzegaliśmy kalendarza wszystkich świąt – i karaimskich, i katolickich. My szanowałyśmy jego tradycje, on nasze i wspólnie krzątaliśmy się podczas przygotowań. Podobna sytuacja panuje w moim małżeństwie, Mietek podtrzymuje wszelkie tradycje, choć sam o sobie mówi, że jest ateistą. Natomiast zdecydowanie bardziej niż mój ojczym interesuje się naszą kulturą. Czyta przeróżne książki i opracowania o Karaimach, dowiadyuje się ciągle czegoś nowego. Czasem zdarza się, że ktoś zada mi jakieś pytanie, a zanim zdążę odpowiedzieć, Mietek już rozpoczyna swój wykład. Momentami łapię się na tym, że on naprawdę wie więcej ode mnie, bo my poznawaliśmy wszystko z doświadczenia, na bieżąco, a on podchodzi do tego bardziej naukowo. Niekiedy mnie to nawet trochę denerwuje, bo w towarzystwie ktoś rzuci jakieś niezobowiązujące pytanie, a Mietek od razu: „Moja żona jest Karaimką, a ich jest naprawdę mało”... po czym następuje cała tyrada. Któregoś dnia zadzwoniła żona jego przyjaciela i mówi: „Mietek, ja mam parę pytań w sprawie Karaimów”, na co ja wzięłam słuchawkę i pytam: „Ale Zosiu, dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać?”. Na co słyszę: „No

wiesz, bo mój mąż twierdzi, że Mietek ma szerszą wiedzę na ten temat”.

Podczas częstych spotkań z synem Mietka z pierwszego małżeństwa i jego dziećmi Mietek ich też nieustannie doszkala. Kiedy pierwszy raz te nasze wnuki pojechały z nami do Trok, nie wiedziały zbyt dużo o Karaimach – bo wiesz, trudno to małym dzieciom wytłumaczyć, że babcia Karaimka – ale tam na miejscu wszystko im opowiedzieliśmy, pokazaliśmy i oni pokochali Troki. Potem przez szereg lat z rzędu zabieraliśmy ich na wakacje, pytaliśmy, dokąd chcą jechać, a oni zawsze chcieli do Trok.

***Najbardziej mnie Mietek zaskoczył tym swoim romantycznym gestem, kiedy na urodziny ofiarował ci piękny wisiołek z herbem karaimskim.***

Mój mąż zobaczył to najpierw u Jarka Nowickiego, który zamówił takie wisiołki dla swojej rodziny. Poprosił Jarka, by zaprowadził go do swojego jubilera, oczywiście w tajemnicy przede mną, bo nie wiedziałam nawet, że Jarek wpadł na taki pomysł i że to nosi. A potem, pamiętasz, byliśmy wszyscy razem w Szczecinie przy okazji prezentacji wystawy „Karaj Jołfary”, akurat tego dnia wypadały moje okrągłe urodziny i Mietek mi wręczył ten prezent. I zobacz, mam go na szyi, noszę go cały czas, tak jak katolicy noszą medalik.



Mama Żeni. Fot. z archiwum Eugenii Firkowicz



*To było dokładnie jedenaście lat temu, tam w Szczecinie kończyliśmy wspólną modlitwę ten właśnie najbardziej uroczysty tydzień w roku, Chydzý Tymbyłłarnyn. Nie zapomnę zdziwienia kelnerów, kiedy z eleganckiego bufetu wybieraliśmy z zachwytem przede wszystkim chleb i bułki, komentując głośno radość jedzenia. Skąd mogli wiedzieć, że przez siedem dni nie wzięliśmy ani kromki do ust... A wracając do początków twojej znajomości z Mietkiem – kiedy dowiedział się o twojej tożsamości narodowej?*

Od razu, nigdy przecież tego nie ukrywałam. I z miejsca zaczął się tym interesować, może dlatego, że interesował się mną. Pamiętam, jak Mietek, wtedy dla mnie jeszcze tylko szef, przyjmował oficjalną delegację z Leningradu, a ja byłam tłumaczem. Wspomniano między innymi o mniejszościach narodowych i nagle on na cały głos oświadczył: „A Żenia to jest Karaimka”. Zapanowała konsternacja, nie każdy wiedział, co to znaczy i czy wypada nie wiedzieć. Wtedy mój szef opowiedział szanownej delegacji ze szczegółami, kto to są Karaimi, skąd pochodzą i gdzie mieszkają.

*Mówił do nich po rosyjsku?*

Nie, ja oczywiście musiałam to tłumaczyć (śmiech). Co pewien czas cichutko prosiłam: „Może już wystarczy”, ale nie wystarczało i opowieść ciągnęła się dalej.

*Podobnie jak ciągnie się nasza opowieść, bo właśnie zaczynamy drugą i ostatnią sesję naszej rozmowy. W międzyczasie intensywnie kontaktowałyśmy się z rodakami, ty pojechałaś z Mietkiem do Trok, ja z moim Adamem do Warszawy i Wrocławia. Obchodziłam też w Gdańsku Zielone Świątki, czyli Chydzý Aftałarnyn, ze spokrewnionymi Karaimkami z Krakowa, Elbląga i nawet z Norwegii, a mój mąż przez parę dni wyjaśniał im zawiłości naszej historii, religii i tradycji. Te wzruszenia nie mają sobie równych... Wiem, że w waszym domu, jak i w waszych sercach, zawsze jest miejsce dla bliskich z Trok. Dlatego też proszę, byś nam opowiedziała o swoich trockich krewnych, może poczynając od twoich dziadków?*

Ja znałam tylko jedną babcię, mamę mojej mamy. Po raz pierwszy pojechałam do Trok w wieku ośmiu lat i tam ją zobaczyłam. Ze strony ojca dziadkowie zmarli, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. A dziadek ze strony mamy został

rozstrzelany w latach czterdziestych w Ponarach w Wilnie. Natomiast wdowa po nim, babcia Anna Firkowiczowa z domu Abkowicz, zmarła w 1970 roku, czyli od 1955 do 1970 roku, przez piętnaście lat, jeździłam stale do Trok na wakacje do jej domu. Bardzo kochałam babcię, ona nie miała jakiegoś dużego wykształcenia, ale za to miała taką mądrość życiową, takie podejście, że po prostu była wspaniała. Dużo przeszła, w czasie I wojny mieszkała w Petersburgu. Oczywiście, ponieważ miała troje wnuków – dwóch chłopaków ze strony cioci i mnie najmłodszą – a ja przyjeżdżałam tylko na wakacje, rozpieszczała mnie niemożliwie.

*Byłaś już dorosła, kiedy babcia umarła, i te serdeczne związki przeszły na następne pokolenia, prawda?*

Oczywiście, bo miałam tam siostrę mamy, moją ukochaną ciocię Zosię Tynfowiczową, i jej synów, Saszę i Gabę. Saszy urodziła się córka Ania, to była pierwsza wnuczka w rodzinie, z którą do dziś jesteśmy mocno emocjonalnie związane. To do Ani Maleckiej jeżdżę z Mietkiem, do tego domu nad jeziorem Galve, gdzie ty też bywałaś jako dziecko i później młoda mama.

*Tak, moja babcia Abrahamowiczowa i ciocie Amelia oraz Sabina kupiły połowę tego imponującego domu po sprzedaży gospodarstwa w Żalukwi pod Haliczem. Drugą połowę zajmowała pani Tynfowiczowa z rodziną. Spotykałam ją w ogrodzie, który łagodnie opadał w stronę jeziora. Widok z łódek zacumowanych na ich wspólnym pomoście zapierał dech w piersiach. Teraz na miejscu ogrodu jest beton trockiego „Paryża”...*

Ale z gościnnego pokoju na poddaszu, nawet leżąc w łóżku, widzimy zamek trocki. I Mietek za każdym razem rozpoczyna pobyt w Trokach zrobieniem zdjęcia z okna i westchnieniem: „Ależ tu pięknie!”. Ania ma wspaniałego męża Saszkę Kobeckiego – ambitnego i niezwykle pracowitego, którego serdecznie lubimy – i mają dwóch udanych chłopaków. Kamil, z którego jesteśmy bardzo dumni, w tym roku skończył medycynę ze świetnymi wynikami, przez te sześć lat studiów nie oblał żadnego egzaminu i teraz nawet dostał się na rezydenturę w specjalizacji lekarz rodzinny. Mówił mi, że było dwieście siedemdziesiąt podań na te trzydzieści pięć miejsc i on zdobył jedno z nich. A młodszy syn, Daniel, dopiero skończył piętnaście lat, jest uczniem. W czym jednak bracia

są podobni, a czego dopilnowała Ania, to że obaj uczyli się muzyki, obaj śpiewali w litewskim chórze chłopięcym, takim jak polskie „Słowiki”, obaj grają na instrumentach. Kamil skończył też średnią szkołę muzyczną.

***Czy rodzice Kamila i Daniela, których piękne głosy podziwiam, na przykład słuchając „Karaimskiej mapy muzycznej”, też są uzdolnieni muzycznie?***

Głównie Ania, ona też chodziła do szkoły muzycznej i śpiewała w chórze. Ma rzadki głos, dobry alt. I dobry słuch, co przekłada się też na zdolności lingwistyczne, bo łatwo przychodzi jej nauka języków. Ania skończyła filologię francuską na wileńskim uniwersytecie i wykłada francuski na wyższej uczelni. Jej tata niestety nie żyje, ale z jej stryjcem Gabą, czyli moim drugim bratem, prawie codziennie rozmawiamy.

***A ze strony ojca też masz tam rodzinę?***

Tak, w Trokach miałam bardzo dużo bliskich krewnych, zwłaszcza ze strony ojca, bo ich było siedmioro rodzeństwa, trzech braci i cztery siostry. Tamtego pokolenia już nie ma, ale żyją niektórzy ich potomkowie. Najstarszy z moich kuzynów Sasza Robaczewski i jego żona Zosia, którzy wiele serdeczności mi okazali, na przykład ucząc mnie wiosłowania łódką czy zapraszając na wakacje do swojego gościnnego domu w Połukni, a potem w Trokach, mieli córkę Julę i syna Romka. To takie smutne, że wkrótce minie rok od nagłej śmierci Romka. Natomiast jego kochana siostra Julia, z którą łączy mnie czuła przyjaźń, jest dla mnie, tak jak kiedyś była jej mama, istnym cicerone, jeżeli chodzi o karaimskie święta, kulinaria i obyczaje. Ważny też dla mnie kuzyn Józio Firkowicz niestety odszedł dwa lata temu, ale utrzymuję kontakt z jego żoną Maszą i z dwójką ich dzieci, Iną i Zenonem – też takimi moimi ukochanymi „pliemiannikami”, jak to się u nich mówi. Bardzo jestem dumna z syna Iny, Ajdara. I zdolny, i samodzielny, i ciekawy świata, i – co niezwykle cenne – biegle mówi po karaimsku. A w zeszłym roku był jednym z głównych organizatorów obchodów w Trokach. Tak samo Zenka dziewczynki – śpiewają, tańczą w karaimskim zespole „Birlik”, świetnie się ucą. Na Wileńszczyźnie pozostali mi też kuzyn Kola Jutkiewicz, jego bratanek Dima Jutkiewicz, jego siostrzeniec

Wołodzia Pilecki i moja kuzynka Halinka Szpakowska po mężu Robaczewska. Nawet z bratem Wołodii, czyli twoim szwagrem Alikiem Pileckim, który mieszka w Trójmieście, widujemy się głównie w Trokach. Siostra Dimy, Lena, mieszka w Londynie, ale na szczęście jak w maju byliśmy na urodzinach Saszki, to ona akurat przyleciała na urlop i mogłam się z nią zobaczyć. A to tak cieszy, jak widzisz te dzieciaki, teraz już zresztą całkiem dorosłe. Natomiast z dalszej rodziny, z pokolenia moich rodziców, spotykamy się z Romkiem Szpakowskim, z którego córką Irenką też mamy stały i świetny kontakt.

***Czyli jest do kogo jechać.***

Jest do kogo jechać, jest z kim porozmawiać, jest z kim się podzielić, oni wszyscy dzwonią do mnie, ja do nich też dzwonię i tęsknię za nimi. Oczywiście, za każdym razem przychodzi taki moment przed drogą, kiedy wzdycham „Czemu to tak daleko...”, ale i tak jedziemy. Teraz jeszcze mocniej tam mnie ciągnie ze względu na grób mamy – ale do żywych ciągnie mnie najbardziej.

***Taka była wola mamy, żeby spocząć na trockim cmentarzu?***

Mama przez cały czas mówiła, że chce być pochowana ze swoją matką w Trokach, ponieważ jako Karaimka nie chciała czy nie mogła być pochowana w jednym grobie ze swoim drugim mężem. Ja co prawda wykupiłam z myślą o niej trzecie miejsce w naszym grobowcu rodzinnym w Sopocie i mama mi potakiwała, niby się z tym pogodziła, ale gdy tylko zamknęła oczy, wszystkie jej przyjaciółki i nawet moje przyjaciółki zaczęły mi powtarzać: „Mama chce do Trok”. I w pewnym momencie usiadłam i pomyślałam, że to jest egoizm z mojej strony, że chcę tutaj ją zostawić. Poza tym kiedy ja odejdę, nie wiadomo, jak to będzie z opieką nad grobowcem. A w Trokach jednak zawsze przyjdzie rodzina, Ania dba o groby, Gaba dba o groby.

***Żeniu, jestem Ci bardzo wdzięczna za tę rozmowę. Myślę, że czas najwyższy, by w Gdańsku, po Warszawie i Wrocławiu, rozpocząć starania o otwarcie Skweru Karaimskiego. Podobnie jak robią to twoi krewni w Trokach, twoja gdańska rodzina tak dużo serca wkładała w tutejsze życie, że nie wolno nam o tym zapominać.*** ■